NAMIĘTNOŚĆ I ZBRODNIA

KAREN ROSE

NALEŻYSZ DO MNIE

Prolog

Bayview, Delaware
Niedziela, 7 marca, godz. 11.15

— Przepraszam, ale nie może pan tam wejść.

Malcolm Edwards zignorował głęboki głos zarządcy przystani. Spoglądając przed siebie, czuł, jak osłabione ciało pulsuje bólem. *Carrie On* przyzywa go do siebie, kołysząc się na wzburzonych wodach zatoki Chesapeake. Nadciągała burza. Idealny dzień, by pożegnać się z życiem.

Jeszcze kilka kroków i będę mógł odpocząć, pomyślał. Jednak Daryl ani myślał dać za wygraną; świadczył o tym głuchy łoskot za plecami Malcolma i drżenie desek pod stopami.

— Hej! Niech się pan zatrzyma. To teren prywatny. Hej, kolego! Powiedziałem, że...

Malcolm się skrzywił, gdy potężna dłoń chwyciła go za ramię i odwróciła. Przez chwilę spoglądał w twarz Daryla, czekając w milczeniu, aż ten go rozpozna i zdumiony rozdziawi usta.

— Pan Edwards. — Mężczyzna cofnął się o krok. Jego rumiana twarz pobladła. — Proszę wybaczyć.

— W porządku — odparł łagodnie Malcolm. — Wiem, że trudno mnie rozpoznać.

Miał świadomość tego, jak wygląda. Był zaskoczony, że Daryl go poznał, mimo iż znali się tyle lat. Wątpił, by większość jego tak zwanych przyjaciół dostrzegła w nim dawnego Malcolma

Edwardsa, nawet gdyby mieli taką możliwość. Jedynie Carrie wytrwała u jego boku, choć bywały chwile, gdy Malcolm pragnął, by było inaczej. W zdrowiu i w chorobie. Tym razem zdecydowanie chodziło o to drugie.

Myślała, że nie słyszy, jak łkała pod prysznicem. Oddałby wszystko, by nie musiała przechodzić przez to piekło. Jednak nie on o tym decydował. Tym razem wszystko było w rękach Boga. To jego przeklinała Carrie, patrząc, jak Malcolm marnieje w oczach. On sam nie mógł pozwolić sobie na ten luksus. Miał na sumieniu wystarczająco wiele grzechów.

— Potrzebuje pan czegoś? Może panu pomóc? — Daryl z trudem przełknął ślinę.

— Nie. Nic mi nie jest. Wybieram się na ryby. — Mówiąc to, podniósł wiaderko z przynętą, które kupił dla zachowania pozorów. — Chcę poczuć wiatr we włosach. — Ostatni raz, dodał w myślach. Odwrócił się w stronę łodzi, z trudem robiąc krok naprzód. Deski pomostu jęknęły przeciągle, gdy Daryl ruszył za nim, najwyraźniej nie wiedząc, czy powinien się odzywać.

— Idzie burza. Może powinien pan zaczekać.

— Nie mam czasu na czekanie. — Była to szczera prawda.

Daryl się skrzywił.

— Mogę poprosić kogoś, żeby płynął z panem. Mój wnuk jest wytrawnym żeglarzem.

— Doceniam to, naprawdę, ale czasami człowiek po prostu chce być sam. Trzymaj się, Darylu, i dzięki za troskę. — Po tych słowach wszedł na pokład. Gdy chwycił ster w dłonie, poczuł, jak wiotczeje mu ciało. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz wypłynął na wody zatoki. Niestety był zajęty. Wizytami u lekarzy, leczeniem i... Spojrzał na zasnute chmurami, posępne niebo.

I porządkowaniem swojego życia. Było tak wiele rzeczy, które musiał doprowadzić do końca, a wśród nich ta jedna sprawa, która od dwudziestu jeden lat nie dawała mu spokoju.

Pomyślał o liście, który wysłał z nadzieją, że ciągle jeszcze nie jest za późno. Miał nadzieję, że zdoła utrzymać ster na tyle długo i wypłynie wystarczająco daleko, by zrobić to, co należy. Liczył, że tonąc, człowiek rzeczywiście czuje się tak, jakby zapadał w sen.

Wody zatoki robiły się coraz bardziej niespokojne, a wiatr z każdą chwilą przybierał na sile. W końcu wyłączył silnik i z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w szum fal. Pochwycił w płuca haust słonego powietrza i w milczeniu rozkoszował się ostatnim dniem swojego życia. Wiedział, że Carrie będzie smutna, choć w głębi duszy poczuje ulgę. Tego ranka, gdy pocałował ją na pożegnanie, starała się zachować zimną krew. Powiedział, że po wizycie u lekarza wybiera się na ryby. Kiedy policja zapuka do drzwi, by przekazać jej smutne wieści, przysięgnie, że jej mąż nie odebrałby sobie życia, jednak w głębi duszy będzie znała prawdę.

Wyszedł na pokład i rozstawił wędki. Musiał zachować pozory na wypadek, gdyby ktoś znalazł łódź nietkniętą po tym, jak „gwałtowna fala" wyrzuci go za burtę. Zakładał przynętę, kiedy z zamyślenia wyrwał go czyjś donośny głos.

— Kim są pozostali?

Malcolm odwrócił się, wypuszczając przynętę z dłoni. Głos należał do mężczyzny, który stał za jego plecami, w lekkim rozkroku, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Jego zmrużone oczy pałały nienawiścią, która sprawiła, że Malcolmowi ciarki przeszły po plecach.

— Kim pan jest? — spytał.

Mimo iż łódź kołysała się na wodzie, mężczyzna ruszył ku niemu stanowczym krokiem.

— Kim są pozostali? — powtórzył.

Pozostali.

— Nie wiem, o czym pan mówi — skłamał Malcolm.

Nieznajomy wyciągnął z kieszeni list. Malcolmowi żołądek podszedł do gardła, kiedy rozpoznał swój charakter pisma. Wrócił myślami do wydarzeń sprzed dwudziestu jeden lat i uświadomił sobie, że wie, kim jest ów człowiek i czego chce.

— Kim są pozostali? — po raz kolejny spytał nieznajomy, dobitnie wymawiając każde słowo.

Malcolm pokręcił głową.

— Nie. Niczego ci nie powiem.

Mężczyzna sięgnął do drugiej kieszeni i wyciągnął z niej długi

nóż do filetowania. Zbliżył go do twarzy i przyjrzał się ostrzu.

— Zabiję cię — powiedział beznamiętnym głosem.

— Nie dbam o to. Gdybyś jeszcze nie zauważył, i tak zamierzałem umrzeć.

Gwałtowna fala zakołysała łodzią i Malcolm się zatoczył, jednak nieznajomy nie stracił równowagi. Wie, jak poruszać się po pokładzie, pomyślał. Nic dziwnego, jeśli rzeczywiście był tym człowiekiem, o którym myślał. W tamtych czasach ojciec mężczyzny był rybakiem i miał własną łódź. Ale to było dawno temu.

Od tamtej pory wiele firm straciło klientów i upadło, a ludzie zrujnowali sobie życie. Wszystko przez to, co zrobiliśmy. Co ja zrobiłem. Zabije mnie. Ale zasłużyłem na śmierć. Malcolm nie miał jednak zamiaru zdradzać tożsamości pozostałych, podobnie jak nie zamierzał umrzeć okrutną śmiercią. Zwinnym ruchem przyskoczył do burty.

Nieznajomy był szybszy. Chwycił go za ramię i pchnął na leżak. Wyciągnął z tylnej kieszeni sznurek i skrępował mu ręce i nogi. Był przygotowany.

Umrę.

Mężczyzna natychmiast się wyprostował.

— Kim są pozostali? — spytał.

Malcolm przypatrywał mu się w milczeniu, czując, jak dudni mu serce.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— W końcu i tak wszystko wyśpiewasz. Gdybym miał więcej czasu, zrobiłbym z tobą dokładnie to, co wy zrobiliście jej. — Spojrzał mu w oczy. — Dokładnie to samo.

Malcolm wzdrygnął się na myśl o tym, co wydarzyło się tamtej nocy dawno temu.

— Przepraszam. Powiedziałem już, że jest mi przykro. Ale ja nic jej nie zrobiłem. Przysięgam.

— Jasne — odparł z goryczą mężczyzna. — Wyczytałem to w twoim liście. A kiedy się w końcu przyznałeś, byłeś zbyt wielkim tchórzem, by się podpisać.

Miał rację. Malcolm był wówczas tchórzem; tak samo jak był

nim teraz.

— Skąd wiedziałeś, że to ja?

— Domyśliłem się, że to jeden z was. W tamtym czasie trzymaliście się razem. Wszyscy się podpisaliście na drużynowym zdjęciu.

Malcolm zamknął oczy i wrócił wspomnieniami do przeszłości. Byli młodzi i tak cholernie aroganccy. Myśleli, że mają świat u swych stóp.

— Tym w szkolnej gablocie z trofeami.

Nieznajomy posłał mu szyderczy uśmiech.

— Dokładnie tym samym. W ciągu tych dwudziestu jeden lat twój charakter pisma niewiele się zmienił. Nadal tak samo piszesz „M". Nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć, że to ty napisałeś ten list. Wróćmy jednak do powodu mojej wizyty. Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

— Nie zrobię tego. Tak jak napisałem w liście, to sprawa między nimi a Bogiem. Przykro mi, ale nic ci nie powiem.

— Jeszcze zobaczymy. — Szyderczy uśmiech nieznajomego zmienił się w złowrogi grymas.

Po tych słowach zniknął pod pokładem. Malcolm szarpnął krępujące go liny, próbując wyswobodzić ręce. Bez skutku. Przed oczami, jeden za drugim, pojawiały się kolejne obrazy. Znów widział te wszystkie chore, odrażające rzeczy, które tamtej nocy robili dziewczynie, podczas gdy on stał i patrzył. I nie reagował.

Powinienem był coś zrobić. Powinienem był to zakończyć. Ale nie zrobił tego, podobnie jak nie zrobili tego inni. Teraz za to zapłaci. W końcu.

Usłyszał głuchy łoskot, jakby mężczyzna próbował wywlec spod pokładu coś ciężkiego. To była kobieta. Na jej widok Malcolmowi żołądek podszedł do gardła. Miała na sobie dokładnie taki sam sweter, jaki widział zaledwie kilka godzin temu, kiedy całował na pożegnanie swoją żonę.

— Carrie. — Próbował się podnieść, jednak nie był w stanie ustać na nogach. Kobieta była skrępowana, miała zasłonięte oczy i zakneblowane usta. Mężczyzna ciągnął ją za ramię. — Puść ją. Ona nic nie zrobiła.

— Podobnie jak ty — odparł kpiąco nieznajomy. — Sam to powiedziałeś. — Pchnął Carrie na krzesło i przyłożył jej nóż do gardła. — A teraz powiedz mi, Malcolmie. Kim. Są. Pozostali?

Malcolm rozpaczliwie spojrzał w jego przymrużone oczy, by chwilę później utkwić wzrok w ostrzu noża. Nie mógł oddychać. Nie mógł zebrać myśli.

— Nie pamiętam.

Ostrze musnęło skórę na szyi Carrie, po której pociekła cienka strużka krwi.

— Nie waż się mnie okłamywać — spokojnie powiedział nieznajomy. — Jeśli wiesz, kim jestem, wiesz również, że nie mam nic do stracenia.

Malcolm zamknął oczy. Nie potrafił myśleć, kiedy na nią patrzył. Był zbyt przerażony.

— W porządku. Ale najpierw wysadź ją na brzeg. Inaczej nic ci nie powiem.

Knebel w ustach Carrie stłumił krzyk bólu. Przerażony Malcolm przyglądał się w osłupieniu. Chwilę później zebrało mu się na wymioty. Nie był w stanie na to patrzeć, nie mógł znieść widoku palca, który mężczyzna wyciągnął w jego stronę.

Odciętego palca. Uciął jej palec.

— Powiem — wychrypiał. — Do cholery, wszystko ci powiem.

— Tak myślałem.

Nieznajomy odsunął się od Carrie, która kwiląc, skuliła się w kącie tak daleko od swego oprawcy, na ile pozwalały krępujące ją więzy. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni notatnik i długopis.

— Jeśli jesteś gotowy, możemy zaczynać.

Malcolm pospiesznie wymienił kolejne nazwiska, nienawidząc siebie za to, co robi. Nienawidził się zresztą za wszystko. Za to, że przyglądając się, biernie uczestniczył w wydarzeniach tamtej nocy. Za to, że napisał list i naraził na niebezpieczeństwo własną żonę. Mężczyzna spisał wszystko, nie okazując przy tym żadnych emocji, i schował notatnik z powrotem do kieszeni.

— Zrobiłem, co mi kazałeś — jęknął Malcolm łamiącym się głosem. — A teraz zabierz ją z powrotem na brzeg. Pozwól, że zabiorę ją do lekarza. Proszę, włóż palec do lodu. Proszę. Błagam.

Mężczyzna spojrzał na ostrze wciąż czerwone od krwi Carrie.

— Czy ona mówiła to samo?

— Kto?

Nieznajomy zadarł głowę.

— Moja siostra. Czy ona też błagała? — Chwycił Carrie za włosy i brutalnym szarpnięciem odchylił jej głowę. Chwilę później przystawił jej nóż do gardła. — Czy błagała?

— Tak — odparł Malcolm, szlochając. — Proszę cię. Błagam. Moja żona nie jest niczemu winna. Proszę. Powiedziałem ci wszystko, co chciałeś. Nie rób jej krzywdy, proszę.

Ręka mężczyzny przecięła powietrze, ostrze błysnęło, a Malcolm wrzasnął, gdy z rozpłatanej szyi Carrie chlusnęła struga krwi. Nie. Nie. Nie. Błagam, Boże, tylko nie to. Carrie nie żyła. Jego żona była martwa.

Nieznajomy przeciął więzy i pozwolił, by ciało upadło u stóp Malcolma.

— Powinienem zostawić cię tu, żebyś patrzył, jak ptaki dziobią jej ciało — mruknął. — Ale ktoś mógłby cię znaleźć, zanim umrzesz, i wszystko byś wyśpiewał. Mógłbym też obciąć ci język, ale i tak znalazłbyś sposób, by o wszystkim opowiedzieć. Dlatego ty także musisz umrzeć. — Po tych słowach uniósł brodę Malcolma, zmuszając go, by spojrzał mu w oczy. — Ale i tak wytnę ci język. Chcesz jeszcze coś powiedzieć?

▪ ▪ ▪

Stojąc nago na pokładzie, mężczyzna spoglądał, jak ostatnie z jego ubrań znika pod powierzchnią stalowoszarej wody, idąc w ślady Malcolma i jego żony. O zmierzchu wszyscy spoczną na dnie.

Pozbył się ciał, gdy dookoła szalała burza. Wszędzie było mnóstwo krwi. Na szczęście wziął ze sobą ubrania na zmianę. Zmył z siebie krew Edwardsów i skierował *Carrie On* do małej prywatnej przystani, której właściciel nie będzie zadawał żadnych pytań. Na miejscu umyje wężem pokład i pozbędzie się śladów wskazujących, że łódź należała niegdyś do Malcolma Edwardsa.

Schodząc pod pokład, przystanął w kambuzie, gdzie odłożył notatnik. Nie mógł ryzykować, że zachlapie go krwią. Lista nie

była mu potrzebna. Znajdujące się na niej nazwiska zdążyły wyryć się w jego pamięci.

Niektórych się spodziewał. Inne były dla niego prawdziwym zaskoczeniem.

Jednak wszyscy bez wyjątku pożałują tego, czego się dopuścili tamtej nocy dwadzieścia jeden lat temu.

Rozdział pierwszy

Baltimore, Maryland
Poniedziałek, 3 maja, godz. 5.35

— Kup sobie jakieś tanie okulary przeciwsłoneczne... — zaśpiewała Lucy Trask do wtóru z ZZ Top, biegnąc dróżką, która przecinała park za jej mieszkaniem. Nie dbała o to, że fałszuje. W końcu to Gwyn była ich wokalistką, nie ona. Ludzie nie dbali o to, jak śpiewała, tylko jak grała na skrzypcach. Poza tym rankiem w tej okolicy nie było nikogo oprócz innych biegaczy, którzy — podobnie jak ona — mieli na uszach słuchawki.

O tej porze nie spotykała nikogo, komu chciałaby zaimponować i z czyją opinią musiałaby się liczyć. Był to jeden z powodów, dla których tak bardzo lubiła tę porę dnia — tuż przed świtem.

Skręciła na końcu ścieżki, zwolniła i zatrzymała się, czując, jak opuszcza ją spokój.

— O, nie — mruknęła ze smutkiem. — Tylko nie to. — Przy jednym ze stolików do gry w szachy siedział pan Pugh. Jego tweedowy kapelusz oświetlało światło ulicznej latarni.

Lucy zbiegła ze ścieżki, kierując się w stronę miejsca, gdzie jej stary przyjaciel spędził tak wiele godzin, dając mata wszystkim swoim przeciwnikom. Jednak te czasy dawno już minęły. Teraz siedział sam w nocy, ze spuszczoną głową i twarzą wciśniętą w kołnierz płaszcza.

Westchnęła. Najwyraźniej znowu wałęsał się po okolicy. Zwolniła kroku i po cichu podeszła do mężczyzny.

— Panie Pugh? — Delikatnie dotknęła jego ramienia, uważając, żeby go nie przestraszyć. Nie lubił, kiedy ktoś go zaskakiwał. — Czas wracać do domu.

Zmarszczyła brwi. Zwykle mężczyzna podnosił głowę, patrzył na nią nieobecnym wzrokiem i pozwalał, by odprowadziła go do Barb, zmęczonej ciągłą opieką nad nim. Tym razem jednak nie podniósł wzroku. Siedział nieruchomy niczym posąg. Lucy poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Nie, tylko nie to. Nie, nie, nie.

Dotknęła palcami szyi mężczyzny i stłumiła krzyk, kiedy bezwładne ciało osunęło się na stolik, a kapelusz spadł na ziemię. Przez chwilę patrzyła w osłupieniu. Głowa mężczyzny była zdeformowana, pokryta skorupą zaschniętej krwi. A jego twarz... Zatoczyła się do tyłu. Czuła, jak żółć podchodzi jej do gardła.

O, Boże. O, Boże. Jego twarz zniknęła. Podobnie jak oczy.

Cofnęła się instynktownie.

— Nie. — Usłyszała stłumiony jęk, jednak minęła chwila, zanim uświadomiła sobie, że to jej własny głos. Z trudem walczyła o każdy oddech.

Zrób coś. Drżącymi rękami sięgnęła do kieszeni szortów, wyciągnęła komórkę i wybrała numer alarmowy. Wzdrygnęła się, gdy chwilę później usłyszała czyjś energiczny głos.

— Dziewięćset jedenaście. W czym mogę pomóc?

— Chodzi o... — Lucy spojrzała na zwłoki i poczuła, że głos więźnie jej w krtani. Pospiesznie zamknęła oczy. To nie zwłoki. To pan Pugh. Ktoś go zamordował. O, Boże. O, Boże. — Chodzi o... — Nie mogła mówić. Nie mogła oddychać.

— Proszę pani? — powtórzył niecierpliwie operator. — O co chodzi?

Lucy odchrząknęła, pomyślała o latach praktyki i zdołała zapanować nad głosem.

— Mówi doktor Trask z biura lekarza sądowego. Chciałam zgłosić morderstwo.

Poniedziałek, 3 maja, godz. 6.00

Detektyw J.D. Fitzpatrick obserwował niewielki tłum, który zebrał się za żółtą taśmą. Sąsiedzi, pomyślał. Część z nich nadal miała na sobie szlafroki i kapcie. Niektórzy byli w podeszłym, inni w średnim wieku. Jedni płakali. Inni przeklinali. Byli i tacy, którzy i płakali, i przeklinali.

Idąc na miejsce zbrodni, podszedł na tyle blisko, że był w stanie usłyszeć ich rozmowy. To był najlepszy moment, by podsłuchać, o czym mówią, kiedy szok rozwiązywał im języki.

— Jakie zwierzę byłoby zdolne zrobić coś takiego staremu, bezbronnemu człowiekowi? — pytała wściekle jedna z kobiet, zaciskając ręce w pięści.

— Nigdy nikogo nie skrzywdził — dodał ze zdumieniem stojący obok mężczyzna.

— Przeklęte gangi — mruknął pod nosem starzec. — Człowiek boi się wyjść z domu.

J.D. zwrócił uwagę na równo przystrzyżoną trawę. Tu, w parku nie zauważył śladów obecności gangów, jednak przy wjeździe widział ich wystarczająco wiele. To miejsce było dla okolicznych mieszkańców oazą spokoju. Schronieniem, do którego nie dotarła jeszcze brzydota świata zewnętrznego. Wiedział, że to iluzja. Brzydota była wszechobecna.

Sąsiedzi ofiary również o tym wiedzieli. Nie tylko gangi mordowały ludzi. Wystarczył zwykły przestępca, zwłaszcza jeśli ofiarą był ktoś starszy i bezbronny.

— Barb tego nie przeżyje — lamentowała starsza kobieta, opierając się o mężczyznę w podeszłym wieku. — Ile razy mówiłam jej, żeby oddała go do domu opieki? Ile razy?

— Wiem, skarbie — mruknął mężczyzna. Przytulił do swego ramienia jej posiwiałą głowę i zakrył jej oczy. — Przynajmniej Lucy tu jest.

Kobieta pokiwała głową, raz za razem pociągając nosem.

— Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Barb była prawdopodobnie żoną lub córką ofiary, jednak J.D. zastanawiał się, kim właściwie jest Lucy i dlaczego to właśnie ona

będzie wiedziała, co zrobić.

Za żółtą policyjną taśmą stało dwóch umundurowanych policjantów. Jeden spoglądał na grupkę sąsiadów, podczas gdy drugi omiatał wzrokiem miejsce zbrodni. Stojąc obok siebie, stanowili swoistą barierę, która chroniła ofiarę przed wzrokiem ciekawskich.

Nieco dalej krzątali się technicy kryminalistyki, którzy robili zdjęcia i badali miejsce zbrodni. Pojawienie się policji z całą pewnością przesłoniło widok na to, co się stało, jednak J.D. wiedział, że zanim miejsce zbrodni zostało zabezpieczone, stłoczeni za taśmą ludzie zdążyli się już napatrzeć.

Mundurowi wskazali trzeciego gliniarza, stojącego obok Drew Petersona, któremu podlegała jednostka CSU*. Twierdzili, że facet nazywa się Hopper i to on jako pierwszy pojawił się na miejscu.

— Dzięki. — J.D. wyminął gliniarzy, szykując się na to, co lada chwila miał zobaczyć. Mimo to skrzywił się z odrazą. Ofiara siedziała na krześle przytwierdzonym do chodnika. Ciało mężczyzny opierało się o stół do gry w szachy. Jego głowa i twarz były zmasakrowane do tego stopnia, że uniemożliwiały identyfikację. Kto mógł zrobić coś takiego bezbronnemu starcowi? I dlaczego?

Mężczyzna był ubrany w beżowy płaszcz, związany w pasie i zapięty pod samą szyję. Ręce schował w kieszeniach. Na płaszczu ani wokół krzesła nie było widać śladów krwi. Jedynie twarz i głowa ofiary były upstrzone zaschniętymi brunatnymi plamkami.

Patrząc na idącego w jego stronę Hoppera, J.D. pomyślał, że facet porusza się z ponurą determinacją.

— Hopper — rzucił na powitanie gliniarz.

— Fitzpatrick, wydział zabójstw. — Po trzech tygodniach w jednostce J.D. nadal nie mógł się przyzwyczaić do brzmienia tych słów. — Byłeś tu pierwszy? — spytał.

Mężczyzna odpowiedział skinieniem głowy.

— To mój rewir. Ofiara to Jerry Pugh. Biały mężczyzna.

---

* CSU, *Crime Scene Unit* — technicy policyjni.

Sześćdziesiąt osiem lat.

— A więc znałeś go. Przykro mi — bąknął J.D.

Hopper jeszcze raz pokiwał głową.

— Mnie też. Jerry był nieszkodliwy. Chorował.

— Cierpiał na demencję? — spytał J.D.

Hopper zmrużył oczy i spojrzał na niego zaskoczony.

— Tak. Skąd wiesz?

— Słyszałem, jak jedna z kobiet mówiła, że radziła Barb, żeby umieściła go w domu opieki.

— To pani Korbel. Pewnie rzeczywiście tak było. Też jej to powtarzałem. Ale pani Pugh... Barb... nawet nie chciała o tym słyszeć. Chyba nie miała siły. Byli małżeństwem od zawsze.

— Kto znalazł ciało?

Hopper znowu wyglądał na zaskoczonego.

— Ona. — Mówiąc to, wskazał stojącą nieopodal samotną kobietę, która rozglądała się dookoła. Ręce skrzyżowała na piersi, ale jej twarz pozostała nieodgadniona. Było w niej jednak coś kruchego, niemal wyczuwalne napięcie, jakby z trudem panowała nad emocjami.

Była wysoka, miała mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu. Długie włosy, upięte z tyłu w prosty koński ogon, lśniły w świetle reflektorów, przywodząc na myśl czerwonozłote jęzory ognia. Była niezwykle atrakcyjna. Jej klasyczne rysy mogłyby stanowić inspirację dla niejednego rzeźbiarza. Kiedy tak stała bez ruchu, przypominała posąg.

Miała na sobie wiatrówkę, szorty i nowoczesne buty do biegania. Fakt, że pozwolono jej zostać w obrębie policyjnej taśmy, świadczył o tym, że nie była zwykłym świadkiem, jednak J.D. nigdy wcześniej jej nie widział. Z pewnością zapamiętałby tę twarz.

I takie nogi.

— Kim jest... — zaczął, jednak w tej samej chwili kobieta odwróciła się i spojrzała na niego.

Nagle wróciły bolesne wspomnienia i J.D. wiedział już, z kim ma do czynienia.

— Doktor Trask — szepnął jakby do siebie. Lucy Trask, lekarz sądowy. Lucy będzie wiedziała, co zrobić. — To ona go znalazła?

— Tuż przed świtem — odparł Hopper. — Pani doktor... cóż, to po prostu miła kobitka.

J.D. poczuł nagłą suchość w gardle.

— Tak, wiem. Gdzie znajdę panią Pugh?

— Mój partner, Rico, poszedł jej poszukać. Pukał do drzwi mieszkania, ale nikt mu nie otworzył. Dozorca czekał na niego z kluczem. Do tego czasu wszyscy mieszkańcy byli już na nogach. Wszyscy, oprócz pani Pugh. Rico przeszukał mieszkanie, ale nie znalazł ani śladu staruszki. Także jej samochód nie stoi na parkingu.

— Nie ma śladów włamania w mieszkaniu?

— Nie. Rico mówi, że wygląda, jakby kobieta wyjechała. Na podłodze w kuchni znalazł kilka dodatkowych misek z jedzeniem dla kotów, a wszystkie kuchenne urządzenia były wyłączone z sieci. Dozorca szuka umowy najmu, licząc, że znajdzie tam jakiś numer kontaktowy.

J.D. słuchał Hoppera, jednak nadal przypatrywał się doktor Lucy Trask. Zanim kobieta odwróciła wzrok, dostrzegł w jej oczach głęboki smutek.

Chwilę później zerknął na Hoppera.

— Skontaktuj się z Rikiem przez radio. Powiedz mu, żeby nigdzie nie dzwonił. Niech przekaże mi numer. Chcę osobiście poinformować żonę ofiary.

Hopper zmarszczył brwi.

— Barb Pugh nie ma z tym nic wspólnego. Ma prawie siedemdziesiąt lat.

— Tak, wiem. — Żadna staruszka nie byłaby w stanie zadać takich obrażeń. — Ale pozostaje w kręgu podejrzanych, dopóki nie udowodnimy, że jest inaczej.

Hopper nieco się uspokoił.

— W porządku. Skontaktuję się z Rikiem.

— Dziękuję. — J.D. przykucnął obok ofiary, przyglądając się jej z bliska. Ktoś rzeczywiście nieźle urządził biednego staruszka. Sprawca użył tępego, ciężkiego narzędzia. Mężczyznę zaatakowano z wyjątkową brutalnością. Każda część jego twarzy została dosłownie zmiażdżona.

Napastnik wpadł w szał, pomyślał J.D. A może był w amoku

wywołanym przez narkotyki. Pracując w wydziale antynarkotykowym, widział wystarczająco dużo takich przypadków. To nie był zwykły rozbój. Komuś naprawdę odbiło.

Drew Peterson z CSU przykucnął obok.

— Witaj, J.D. Szybko tu dotarłeś. Czyżby w końcu udało ci się sprzedać dom?

Po ukończeniu akademii J.D. i Drew zostali przydzieleni do tego samego okręgu, jednak od śmierci Mai nie widywali się zbyt często. Prawdę mówiąc, od tamtej pory J.D. rzadko spotykał się ze znajomymi. Praca w wydziale antynarkotykowym pochłonęła go niemal bez reszty. Przenosząc się do wydziału zabójstw, zamierzał ostatecznie rozprawić się z przeszłością. Zacząć wszystko od nowa. I choć szczerze współczuł biedakowi pochylonemu nad stolikiem do gry w szachy, miał nadzieję, że w jego życiu nastąpią wreszcie jakieś zmiany.

— Gdzie tam. — Po roku irytującego oczekiwania, kiedy nikt nie zainteresował się kupnem nieruchomości na przedmieściach, J.D. niemal zrezygnował ze sprzedaży domu, w którym do niedawna mieszkał razem z żoną. — Macie coś?

— Na razie niewiele. Dopiero skończyliśmy robić zdjęcia. Musimy zaczekać, aż lekarze sądowi skończą robotę, i dopiero zabierzemy się do pracy. Gdzie Stevie?

— W drodze. — Zwykle kiedy byli na służbie, partnerka J.D., Stevie Mazzetti, miała do dyspozycji cały sztab ludzi, którzy opiekowali się jej córeczką, jednak tego dnia wszyscy zawiedli. J.D. nie przeszkadzało, że musiał ją kryć. Podobne sytuacje należały do rzadkości. Stevie była dobrą policjantką i J.D. wiele jej zawdzięczał.

Wskazał na trawę wokół stolika.

— Nie zamordowano go tutaj. Na trawie ani na płaszczu nie ma śladów krwi. Masz pomysł, jak się tu znalazł?

— Stawiam, że na wózku inwalidzkim. Znalazłem ślady w trawie. Spróbujemy pobrać ślady kół. Niestety wózek zniknął. Ktokolwiek go tu przyprowadził, zabrał go ze sobą.

— Nie ma śladów opon, które prowadziłyby ze ścieżki do stolika — dodał J.D. — Albo go tu przywleczono, albo

przyniesiono, co oznacza, że w drodze powrotnej sprawca musiał pchać pusty wózek. Jeśli został tu zaciągnięty, może mieć trawę na butach.

— Jeśli faktycznie go tu przywleczono, powinien mieć trawę na podeszwach. Obejrzałeś jego buty? — spytał Drew.

J.D. pochylił się i zajrzał pod stolik. Buty ofiary wyglądały na nowe i niedawno pastowane.

— Żadnej rysy. Wygląda na to, że nie został tu przywleczony.

— Wiesz, ile kosztują takie buty?

— Dużo. — Buty rzeczywiście wyglądały na niezwykle drogie. Może nawet wykonano je na zamówienie. J.D. zerknął przez ramię na kamienicę. Mieszkania w niej z pewnością także nie należały do najtańszych, ale daleko im było do apartamentów w hotelu Ritz. — Pewnie to, co zaoszczędził na czynszu, wydawał na buty. Ciekawe, czym zajmował się pan Pugh, zanim zaczął cierpieć na demencję.

— Ta lekarka będzie wiedziała — odparł Drew. — Też mieszka w tym budynku.

— Znała go osobiście? — spytał, na co Drew pokiwał głową. To by tłumaczyło, dlaczego była taka smutna i dlaczego biegała akurat w tym parku. Kiedy patrzył, jak stojąc bez ruchu, wpatruje się w ciało staruszka, ogarnęło go współczucie. — To musiał być dla niej potężny szok. Mam nadzieję, że nie ona będzie dokonywać oględzin?

— Nie. Wezwała techników i karetkę. Wygląda na to, że całkiem nieźle się trzyma.

— Zobaczymy — mruknął J.D. — Porozmawiam z doktor Trask i zobaczę, czy uda nam się znaleźć żonę ofiary i jakichś świadków. Zawołaj, jeśli coś znajdziecie.

— Jasne.

Widząc, że idzie w jej stronę, Lucy Trask się wyprostowała. Oczy miała suche, jednak jej twarz była nienaturalnie blada. Wpatrzona w siedzącego przy stoliku martwego mężczyznę, nawet na chwilę nie podniosła wzroku.

— Doktor Trask? Jestem detektyw Fitzpatrick.

— Wiem — odparła bezbarwnym głosem. — Jest pan nowym

partnerem Mazzetti. Gdzie jest Stevie?

— Już tu jedzie. Mogę zadać pani kilka pytań?

— Oczywiście — powiedziała, prawie nie poruszając ustami.

— Może usiądziemy w moim samochodzie? Będzie tam pani wygodniej.

Zacisnęła usta.

— Nie. Wolę zostać tu. Proszę pytać, detektywie.

W jej głosie słychać było wściekłość. Mówiła z subtelnym akcentem. Może nie był to południowy akcent, ale zdradzał, że jego właścicielka nie pochodzi stąd. A przynajmniej nie urodziła się w Baltimore.

— Dobrze. Znała pani ofiarę?

W milczeniu skinęła głową.

— Przykro mi. Wiem, jakie to dla pani trudne. To pani go znalazła? — Znowu pokiwała głową. — Kiedy?

— Około piątej trzydzieści. Biegałam, kiedy zobaczyłam pana Pugh siedzącego na krześle — wyrecytowała, jakby zdawała relację. — Pomyślałam, że znowu oddalił się od domu.

— Ponieważ cierpiał na demencję — dodał J.D.

Słysząc to, podniosła wzrok. Miała jasne, niebieskie oczy, które trudno byłoby zapomnieć. I choć zobaczył w nich smutek zmieszany z gniewem i zaskoczeniem, wiedział, że potrafią patrzeć na świat ze współczuciem i ciepłem. Pamiętał jej oczy jeszcze długo po tym, jak zobaczył ją po raz pierwszy. Jedyny raz, kiedy mieli okazję ze sobą rozmawiać.

Wówczas widział tylko jej oczy. Reszta jej ciała schowana była za maseczką i pod ubraniami. Nie widział jej twarzy, ale nigdy nie zapomniał tych oczu.

— Pan Pugh cierpiał na chorobę Alzheimera — potwierdziła.

— Jak często oddalał się od domu?

Przygarbiła się.

— Ostatnio trzy, cztery razy w tygodniu. Czasami Barb musi się zdrzemnąć. Kiedy wychodził nocą, to zwykle ja go znajdowałam.

— I odprowadzała go pani do domu?

— Tak. — Powiedziała to tak cicho, że niemal jej nie usłyszał.

— Szedł z panią dobrowolnie?

— Tak. Nie był agresywny.

— Niektórzy chorzy bywają — zauważył J.D.

Nieznacznie zadarła brodę.

— Niektórzy tak. Ale nie on. Wiedzieliśmy, jak go uspokoić.

J.D. uświadomił sobie, że nie tylko znała ofiarę. Ci dwoje byli sobie bliscy.

— Wcześnie dziś pani wstała.

— Tak. Zawsze biegam przed świtem.

— Czy ofiara siedziała tu, kiedy wyszła pani z domu?

Pytanie wyraźnie ją zdenerwowało.

— Nie. Gdyby tak było, od razu bym go odprowadziła.

— Tak więc nie było go tutaj, kiedy zaczynała pani przebieżkę?

Zamrugała, jakby dopiero teraz zrozumiała jego pytanie.

— Och, nie. Możliwe, że tu był, ale go nie widziałam. Zaczynam z drugiej strony budynku i biegam po okolicy. Dopiero wracając, przebiegam przez park.

— Widziała pani kogoś jeszcze?

— Tylko innych biegaczy. Niestety nie znam ich imion. Może pan Hopper będzie mógł panu pomóc. — Zerknęła w stronę budynku. — Gdzie jest posterunkowy Rico? Miał zobaczyć, jak się czuje Barb.

— Wygląda na to, że odeszła.

Spojrzała na niego przerażonym wzrokiem, a jej szczupła dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

— Jak to odeszła? Chce pan powiedzieć, że Barb nie żyje? — spytała, przez co natychmiast pożałował doboru swych słów.

— Nie, nie — odparł uspokajająco i odruchowo dotknął jej ręki. Skórę miała lodowatą. Ujął w dłonie jej skostniałe palce i zaczął je rozcierać. — Wygląda na to, że wyjechała. Mieszkanie jest puste, a na parkingu nie znaleźliśmy jej samochodu.

Panika ustąpiła miejsca niedowierzaniu, a jej ręka znieruchomiała w jego dłoniach.

— Nie. Barb nie zostawiłaby go samego.

— Ale zniknęła.

Wyrwała rękę i cofnęła się. Krew odpłynęła jej z twarzy.

— Nie. To niemożliwe. Nie zostawiłaby go z własnej woli. Ktoś musiał ją do tego zmusić. Mój Boże.

— Wyłączyła z sieci wszystkie kuchenne urządzenia — dodał J.D., obserwując jej reakcję. — Robiła tak, kiedy wyjeżdżała?

Kobieta odpowiedziała tępym skinieniem głowy.

— Tak. Ale nie wierzę, że zostawiła go samego. Była mu niezwykle oddana.

— Czasami w stresie ludzie robią rzeczy, których normalnie by się nie dopuścili — wyjaśnił ostrożnie J.D. — Opieka nad współmałżonkiem chorym na Alz...

— Nie — przerwała pewnym siebie, wściekłym głosem. — Nie. Na litość boską, detektywie, pan Pugh nie był w stanie sam się ubrać. Nie potrafił nawet zawiązać... — dodała łamiącym się głosem i ściągnęła brwi.

Kiedy nie dokończyła, J.D. pochylił się w jej stronę.

— Nie potrafił zawiązać czego?

Jednak kobieta szła już w stronę ciała.

— Butów — rzuciła przez ramię. — Ma na nogach wiązane buty.

J.D. pospieszył za nią, gotów ją odciągnąć, jeśli podejdzie zbyt blisko, jednak zatrzymała się i przykucnęła w miejscu, gdzie sam stał zaledwie kilka minut temu. Coś przykuło jej uwagę i wyrwało ją z odrętwienia. To nagłe ożywienie było widoczne gołym okiem, niemal namacalne.

Zafascynowany przykucnął obok, podziwiając jej profil, kiedy jak urzeczona wpatrywała się w buty ofiary. Jej twarz odzyskała naturalny, zdrowy kolor, a na policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

Patrząc na nią, wiedział już, że nigdy nie zapomni tej twarzy.

— Pan Pugh od pięciu lat nie nosił zwykłych butów — mruknęła, zwracając jego uwagę z powrotem na siedzącego przy stoliku martwego mężczyznę. — Nosił zapinane na rzepy buty ortopedyczne. Barb miała zbyt zesztywniałe palce, by wiązać mu sznurowadła.

— Może miał dwie pary — zauważył J.D., jednak stanowczo pokręciła głową.

— To Ferragamo. Pana Pugh nie było stać na takie luksusy, a nawet gdyby miał wystarczająco dużo pieniędzy, nie wydawałby ich na buty.

— Czym się zajmował? To znaczy... zanim zachorował.

Spojrzała na niego czujnym, skupionym wzrokiem, w którym dostrzegł wyraźną ulgę.

— Był nauczycielem muzyki w szkole średniej. Kupował buty w J.C. Penny. To nie jest Jerry Pugh.

Była o tym absolutnie przekonana.

— Skąd ta pewność? — spytał J.D.

— Ma za małe buty — odparła. — Te są w rozmiarze dziesiątym. Pan Pugh nosił dwunastki. — Zamknęła oczy i zacisnęła drżące usta. — O, Boże. Boże. Nosi. Nosi dwunastki. On nadal żyje. To nie on. To nie on.

— Dobrze się pani czuje, doktor Trask?

Trzęsąc się, skinęła głową i zacisnęła dłonie w pięści.

— Nic mi nie jest.

J.D. nie był tego taki pewny, ale miał nadzieję, że wiedziała, co robić, gdyby poczuła się słabo.

— Skąd zna pani numer buta pana Pugh? — spytał bez przekonania.

— W moim zawodzie, detektywie, widzę mnóstwo stóp. Potrafię rozpoznać rozmiar.

Wyobraził sobie leżące w chłodni ciała i wystające spod prześcieradeł stopy z przymocowanymi do palców identyfikatorami.

— Pewnie tak. Ale skąd zna pani rozmiar jego butów?

Wzruszyła ramionami i spojrzała na zmasakrowaną twarz ofiary.

— W lutym znalazłam pana Pugh, siedzącego tu, w tym samym miejscu. Wyszedł z domu bez butów i prawie odmroził sobie stopy. Zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście, rozmasowałam mu stopy i przykryłam je swoją kurtką. Znam rozmiar jego stopy. Stopy tego mężczyzny są za małe. To nie jest pan Pugh.

— To bardzo miłe z pani strony, że rozmasowała mu pani stopy — bąknął J.D.

— Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo.

J.D. szczerze w to wątpił.

— Nazywa go pani panem Pugh, ale o jego żonie mówi Barb. Dlaczego?

Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło. Zawahała się.

— Trudno jest pozbyć się starych przyzwyczajeń — odparła w końcu. — Prawdę mówiąc, nie byłam tego świadoma.

— Od jak dawna zna pani pana Pugh?

— Od dwudziestu lat. Był moim nauczycielem. W liceum. — Powiedziała to niepewnie, jakby niechętnie dzieliła się tą informacją. Po tych słowach wyprostowała się i J.D. zrobił to samo. — Ten mężczyzna nie ma siedemdziesięciu lat. Zauważyłabym to, gdybym nie była tak zdenerwowana.

— Miała pani prawo być zdenerwowana — zaczął J.D., jednak zbyła jego słowa machnięciem ręki.

— Ma około pięćdziesiątki. Jest też wyższy od pana Pugh o dobre pięć centymetrów. — Ostrożnie pochyliła się nad głową martwego mężczyzny. Zaschnięta krew utworzyła na niej grubą, spękaną skorupę. — Jest łysy, jak pan Pugh. Chyba że ogolono mu głowę. Ustalę to, kiedy przystąpię do oględzin.

— W porządku, załóżmy, że ma pani rację i ten mężczyzna to nie Jerry Pugh. Dlaczego na początku myślała pani, że to on?

— Po pierwsze siedział na miejscu pana Pugh.

— Już to pani mówiła. Co to znaczy na „jego" miejscu?

— Kiedy pan Pugh wychodzi z domu, zawsze przychodzi tutaj i siada w tym samym miejscu. Zanim zachorował, uwielbiał grać w szachy. Codziennie po pracy siadywał tutaj i grał z czekającymi na niego ludźmi. — Zadrżała. — No i jeszcze to. — Mówiąc to, wskazała leżący na ziemi tweedowy kapelusz. — Pan Pugh nosi taki sam. Ten zasłaniał twarz tego człowieka, jakby spał. Spadł, kiedy dotknęłam jego ramienia. — Przerwała i w zamyśleniu przygryzła usta. — Pan Pugh ma też podobny płaszcz.

J.D. zmarszczył czoło. Nie podobało mu się to, co słyszał.

— Kto jeszcze wie, że pan Pugh lubi tu przychodzić?

Odwróciła się powoli i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Wyglądała na zatroskaną.

— Wszyscy mieszkańcy naszej kamienicy. I okolicznych budynków. Pan Pugh wychodzi z domu o różnych porach, w dzień i w nocy. Dlaczego pan pyta? — Zadała pytanie, choć znała odpowiedź.

— Kto wie, że biega pani codziennie o tak wczesnej porze?

— Inni biegacze. Każdy, kto wstaje przed świtem. Dlaczego pan pyta? — powtórzyła.

— Ponieważ nie zamordowano go tutaj. Drew przypuszcza, że został przywieziony na wózku inwalidzkim od strony waszej kamienicy. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żeby go znaleziono.

Spojrzała na kapelusz.

— Myśli pan, że ktoś chciał, żebym to ja go znalazła?

Tak właśnie myślał, ale nie chciał wyciągać pochopnych wniosków.

— Na razie skupmy się na tym, że komuś naprawdę zależało na tym, żeby ten człowiek został znaleziony.

— Ręce w kieszeniach — zauważyła ze spokojem. — Zmasakrowana twarz. Ktoś chciał, żeby go znaleziono, ale nie rozpoznano. Pewnie okaże się, że opuszki jego palców zostały... uszkodzone.

— Albo w ogóle ich nie ma — dodał posępnie J.D.

— Albo w ogóle ich nie ma — powtórzyła. — Stężenie pośmiertne ustąpiło. Nie żyje od co najmniej dwóch dni. Po oględzinach podam panu dokładniejszy czas. — Nachyliła się w stronę ofiary i przyjrzała obrażeniom głowy i twarzy. — Rany zadano tępym narzędziem. Będę wiedziała więcej po...

— Oględzinach — dokończył. — W takim razie zabierzmy go stąd. Chciałbym przeszukać jego kieszenie i zobaczyć, czy nie ma w nich jakiegoś dowodu tożsamości, ale nie chcę ryzykować, że cokolwiek wypadnie na trawę. Będziemy mogli zajrzeć do kieszeni, kiedy przewieziemy go do kostnicy?

Spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

— Albo pobierał pan lekcje u Stevie, albo rzeczywiście ma pan zdrowy rozsądek. Większość gliniarzy chciałaby, żebym przeprowadziła oględziny tu, na miejscu.

Jej aprobata sprawiła, że poczuł się... dobrze. Zupełnie jak

wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Nie sądził, by pamiętała tamto spotkanie, i nie kwapił się, żeby jej o nim przypominać.

Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwi. Kiedy się obejrzeli, zobaczyli technika z biura lekarza sądowego, który szedł ku nim, pchając nosze na kółkach, na których leżał worek na zwłoki.

— Wracam do pracy po dwóch tygodniach przerwy — oznajmiła Trask. — Czeka mnie sporo obowiązków, tak więc możliwe, że nie dam rady przeprowadzić dziś sekcji. Ale jeśli wpadnie pan do kostnicy, przyjrzymy mu się pobieżnie i sprawdzimy, co ma w kieszeniach.

— Będę wdzięczny. Chciałbym jak najszybciej odnaleźć państwa Pugh i upewnić się, że nic im nie jest.

— Dziękuję. W takim razie włożę kombinezon i zabieram się do pracy. — Obejrzała się i spojrzała na siedzące przy stoliku bezwładne ciało. — Chciałabym wierzyć, że natrafiłam na niego przypadkiem; że miejsce, w którym porzucono zwłoki, nie ma ze mną nic wspólnego.

— Ale pani nie wierzy.

— A pan?

Chciał ją uspokoić, ale nie zamierzał jej okłamywać.

— Nie.

Westchnęła.

— Ja również.